

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

# PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

*Kwartalnik*



Nr 4(24)

WARSZAWA

1957

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE



## SPIS TREŚCI

### ARTYKUŁY

- Ananiasz Zajączkowski, *O przysłowiaach tureckich i azerbajdżańskich* 371  
Stanisław Kałużyński, *Notatki z pobytu w Mongolii* 397

### UTWORY LITERACKIE

- Z poezji Rabindranatha Tagore* (przełożyła i opracowała Jadwiga Makowiecka) 405  
Natan Szacham, *Jan Bar Chama*, Dramat w trzech aktach, akt. I (z hebrjskiego przełożył Władysław Tubielewicz) 413  
Je Szeng-tao, *Człowiek z ryżowej słomy* (z chińskiego przełożyła Alicja Wiatr) 431  
*Aforyzmy staroindyjskie* (z sanskryktu przełożyli Eugeniusz i Edmund Słuszkiewicz) 439

### MATERIAŁY I NOTATKI

- Stanisław Małachowski, *Dzban sakralny używany przez wyznawców hinduizmu* 445  
Maria Skuratowicz, *Na marginesie afgańskich legend ludowych* 448

### RECENZJE

#### Z KSIĄŻEK

- Kuo Mo-žo, Pisma wybrane* (M. Velingerová) 451  
*Paweł Nagai, Dzwony Nagasaki* (W. Kotański) 454  
*Ńu. W. Knorozow, Sistema pis'ma drewnich majja* (S. Strelcyn) 458  
*Rasskazy piersidskich pisiatelej* (F. Machalski) 459  
*M.N. Pietrow, Bibliografija po geografii Irana* (D. Kowalik) 461

- Z CZASOPISM 464  
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 470

### KRONIKA

- Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie 477

### SPIS TABLIC

- Do artykułu S. Kałużyńskiego, *Notatki z pobytu w Mongolii* TABL. I—IV  
Do artykułu S. Małachowskiego, *Dzban sakralny używany przez wyznawców hinduizmu* TABL. V—X

\*

Winiетка na okładce stanowi motyw hinduski, przedstawiający pojęcie trójcy *Trimurti* w osobach bogów: Brahma, Wisznu i Sziwa.





NATAN SZACHAM\*

## JAN BAR CHAMA

Dramat w trzech aktach

Wielu pisarzy współczesnych czerpało swe natchnienie twórcze z epoki powstań i buntów przeciwko okupacji rzymskiej w Judei; żaden jednak ze znanych mi pisarzy nie potrafił w swych utworach wyjść poza ramy ustalonej chronologii i szablon faktów ewangeliczno-flawiuszowskich. W sztuce swej uczynił to Natan Szacham.

Bunt przeciwko rzymskim najeźdźcom miał charakter powstań wyzwoleniczych, atakujących dwa punkty: władzę i siły zbrojne okupanta, oraz wroga wewnętrznego z jego konserwatywną, ugodową ideologią — arystokrację ziemską, plutokrację i koła kapłańskie. Ci wszyscy umiejętnie współpracowali z Rzymem, nie czyniąc wzajem sobie krzywdy, pomagając sobie pieniędzmi lub wojskiem zależnie od stron i potrzeb, prywatnie zachowując dla siebie wzajemną nienawiść i pogardę. Na przykład fakt, że w latach trzydziestych panowania Tyberiusza pojawił się Galilejczyk, którego ideologia zdawała się godzić w interesy krajowych bogaczy i kapłanów i to, że Galilejczyk ten gromadził wokół siebie rzesze spragnione wolności, zaniepokoił być może kapłanów, którzy wykorzystując swe wpływy u Rzymian, za ich pomocą Galilejczyka usunęli. Jest to wydarzenie najlepiej nam znane ze względu na brzemienną w skutki późniejszą jego historię, osoba jednak jego wtedy nie była bezpośrednio groźna dla Rzymu, jak i nie były groźne rzesze Esseńczyków, wyznających mozaizm w swym zamkniętym społeczeństwie, sekty, o której można by dziś zaryzykować twierdzenie, że była utopijno-komunistyczna, daleka jednak od podjęcia walki zbrojnej z okupantem, walcząca z pokusami na pustyni. W tym świetle ją przedstawia Natan Szacham, umieszczając Esseńczyka w dialogu z pewnym galilejskim chłopem, gotowym przyłączyć się do powstania, podziwiającym organizację wewnętrzną sekty, choć z zastrzeżeniami natury zasadniczej. Przytaczam fragment:

— Jakże podziwu godne są drogi wasze, człowieku, jak bardzo bym chciał do was należeć. Tą drogą doprawdy można by urządzić powstanie... Gdybym nie potrzebował się troszczyć o suchy chleb dla swoich dzieci, natychmiast rzuciłbym swą duszę...

Esseńczyk: — Powstanie to jest tylko samobójstwem, czego nie wolno nam robić według świętych naszych praw zakonu. Władza pochodzi od Boga.

\* Natan Š a ħ a m, *Johanan bar Hama*, Sifrijat Poalim 1952.



— Skoro tak, to lekceważę sobie twoich świętych. Bądź zdrow.

Esseńczyk: — Bądź zdrow, niech Bóg błogosławi winnicę twoją, wieśniaku.

— Czy to prawda, że żon sobie nie bierzecie?

Esseńczyk: — To prawda.

— Macie zamiar wytracić ród ludzki ze świata na pokojowej drodze?

Esseńczyk: — Po zabiciu ciała, żyć będą dusze.

— A jeśli Pan Bóg chciał, żeby dusze sobie bez ciał żyły, to dlaczego stwarzał takie zniszczalne powłoki?

Esseńczyk: — Głupi chamie.

Chłop ten zresztą wraca do Galilei — „do ludzi wolnych”. Będzie tam może jeszcze do czasu oddawał cesarzowi co cesarskie. Ci jednak, którzy niechętnie na to się godzili, ponadto liczni ex niewolnicy-zbiegowie, rolnicy bez ziemi, łotrzykowie, chronili się w pieczary wawozów judejskich w okolicach Jerycho lub efraimskich gór, organizując oddziały. Tam tliły się zarzewia przyszłych buntów i stąd dokonywano napadów na karawany zwyczajnych, Bogu ducha winnych kupców. Z tymi to jednak wyjętymi spod prawa ludźmi solidaryzowały się pod względem walki o niepodległość kraju warstwy rzemieślników i wyrobników w miastach, drobnych rolników po wsiach. Utrzymywali oni łączność z oddziałami buntowników, wspomagali na swym terenie grupy terrorystyczne — ekspozytury tamtych.

Istniała jeszcze jedna sekta, gotowa przyłączyć się do powstania przeciwko Rzymianom (lecz tylko Rzymianom) — faryzeusze, ortodoksi religijni. Na sektę tę składało się wielu ludzi o różnych lecz szanownych profesjach: uczonych w piśmie, kapłanów, lub wprost ludzi, których żywiła świątynia. Należał do nich również Józef Flawiusz. Byli to ludzie rozważni, jednak gotowi chwycić za broń wtedy tylko, gdy się „już coś zaczęło”. Taki stan trwał jeszcze na krótko przed wybuchem wielkiego powstania w latach siedemdziesiątych (n. e.) i pisze Flawiusz, że „partia nasza zdecydowana była co prawda, na wszelki wypadek trzymać broń w pogotowiu, czekała jednak wpierw na to, co zrobią Rzymianie”<sup>1</sup>.

Ci uczeni w piśmie faryzeusze przedstawieni w sztuce jak cienie, wahający się nad swym dziełem, otrzymują od rannego Jana Bar Chamy w twarz rzucone szyderstwo: „Żydzi skłuci mieczami, lecz ich usta nie zamykają się dla spraw zakonu...”.

Szacham w swej sztuce przedstawia narastający rozwój wypadków poprzedzających jakieś powstanie, które spaliło na panewce. Autor znakomicie obejmuje cykl incydentów, buntów, powstań w Judea Capta dramatycznym skrótem. Autor odrzuca na wstępie ramy chronologii historycznej, wzbrania się od sugerowania czytelnikowi jakiegokolwiek postaci historycznej poprzez osoby dramatu, wybornie szkicuje atmosferę Jerozolimy. Wnikliwie wprowadza czytelnika w rozstaje ideologii wszystkich postaci dramatu, na wskroś humanistycznego, po czym zostawia go samemu sobie w pesymistycznych refleksjach, gdyż każda postać ludzka schodzi ze sceny doznawszy zawodu, ze smakiem goryczy, utratą wiary w sens wysiłków. Nie jak umierający starzec, którego życie przygotowało do rozczarowań, ale jak ciężko ranny po przegranej bitwie, nie pojmujący, że tu się kończy niespełniona rola.

Natan Szacham jest młodym pisarzem. Być może jeszcze przed trzydziestką. Cała jego dotychczasowa twórczość jest poświęcona ludzkim wysiłkom w obliczu grozy. Były uwagi krytyki jednostronnej, że pisarz ten nie wyszedł z kręgu wyobrażeń ideologii *pal-machu*<sup>2</sup>, lecz były to głosy pozbawione racji.

<sup>1</sup> *Vita*, VII, 21.

<sup>2</sup> *Pal mach*, skrót na *plugot* — *maħats* „oddziały szturmowe”, w których Szacham walczył w okresie wojny wyzwoleniczej w 1948 r.



„Nie wiem, co to są opowiadania wojenne. Literatura przygotowana jest tylko do opowiadań o człowieku, a wojna jest krańcową formą odrywającą go z jego wyżyn po to, by siał pociski zamiast zboża. Gotów jestem przyjąć każdą uwagę związaną z baterią armat, nawet z łatwością przenieść je na inne miejsce. Literatura jednak pyta tylko o człowieka ustawionego pod ogniem armat”. Tak pisze Szacham w swojej przedmowie do zbioru swych pierwszych opowiadań<sup>4</sup>.

Pisząc swą sztukę, której akcja toczy się w starożytności, wykazuje on tak samo dobrą znajomość przedmiotu, jak i w opowiadaniach o współczesności. O ile język dialogu jego we współczesnej sztuce o tematyce wojennej<sup>5</sup> jest językiem jak najbardziej współczesnym, pełnym tętniącej bezpośredniości, tak tutaj język hebrajski trochę misznaicki (okresu pobiblijnego), o przepięknych kadencjach, wybornie literacki, zadziwia nagłą zmianą stylu w kwestiach, które można by słuchać po grecku lub po łacinie.

Pragnieniem tłumacza było, by oddać te subtelności, jak również przedstawić całość dramatu; niech fragment ten pozwoli polskiemu czytelnikowi spełnienie pierwszego pobłażliwie osądzić, drugiego zaś — pragnąć gorąco, jak tłumacz.

W. T.

## AKT I

### Odsłona 1

*Zaulek jerozolimski w dzielnicy nędzy. Trzecia straż. Światła przyćmione spoza zamkniętych okiennic pobliskiego domu rzucają blask na twarze dwóch ludzi w załomie ściany; jeden stoi, drugi siedzi. Obaj ubrani jak nędzarze. Ten, który siedzi, ma łagodniejsze rysy, dumne, w przenikliwych oczach szyderstwo; jakby „ktoś lepszy”, co choć za długi swe sprzedany, zna swoją wartość. Drugi jest krępy, ma grube i ciężkie ręce; wygląda na rolnika. Ten wsparty o ścianę, starszy jest od siedzącego, lecz mimo to bardziej nerwowy niż tamten. Wydaje się, że obaj wypatrują kogoś, na kogoś czatują i że zbyt długim już czekaniem są zmęczeni.*

*Rzecz dzieje się w okresie II Świątyni (okres hellenistyczny — rzymski), a współczesnym wystarczy jedna wskazówka: ten młodszy to Elazar — Jerozolimczyk z dobrej rodziny, tamten starszy — to Galilejczyk, plantator oliwek.*

GALILEJCZYK (ziewa): Sporo czasu przeszło, a ten e... e... (namyśla się).

ELAZAR (mimochodem): ... Zdrajca.

GALILEJCZYK (szybko, jak ktoś, któremu rzecz staje się jasna): A ten zdrajca dotychczas się nie pokazał. Czy będziemy tak czekać do rana? (ziewa).

ELAZAR: Galilejczyku niecierpliwy... (również i on ziewa).

GALILEJCZYK (czeka z widocznym do młodszego od siebie szacunkiem). Skoro ten ziewać przestał, pyta znowu): A jak my go poznamy?

ELAZAR (niecierpliwie): Czy dużo jeszcze będziesz pytał? Jest jeden tylko człowiek w Jerozolimie takiego wzrostu, tak się porusza, ma tak wspaniałą brodę. Da się go poznać jeszcze po tym, że niepewnie stawia kroki. Takiemu bowiem,

<sup>4</sup> Natan Š a ḥ a m, *Ha-elim atselim (Leniwi są bogowie)*, wyd. Sifrijat Poalim 1949.

<sup>5</sup> Natan Š a ḥ a m, *Hem jaggiju mahar (Oni tu przyjdą nazajutrz)*, dyw.. Sifrijat Poalim 1954.



co się przebiera w łańchmany, stają się one kajdanami. Ty w twoich szmatach będziesz się poruszał swobodnie jak król w orszaku, a tamten w szmatach — rzecz naturalna — że nawet wzrostu mu ubędzie, bo ponizoną została jego godność. A to będzie jeszcze prostszym i lepszym znakiem dla takiego jak ty.... z chwilą, gdy się podniosę na nogi — to wiesz, że nadchodzi.

GALILEJCZYK (*w chwilę później*): Zdrajca, powiedziałaś, wytłumacz, kogo on zdradził?

ELAZAR: Ciebie, mnie, cały naród...

GALILEJCZYK: Czy doprawdy mnie też zdradził — ja go nawet nie znam?

ELAZAR (*drwiąco*): On jednak znał ciebie.

GALILEJCZYK: To ciekawe, naprawdę poznałby mnie i zawołał po imieniu?

ELAZAR: Ciebie i tobie podobnych i cały tłum nieświadomych głupców. Nie zdałby władzy swej w ręce Rzymu, na łaskę Rzymian, gdyby was nie znał. Dość! Pamiętaj, że obowiązuje nas cisza. Nożownicy nie gadają dużo. Jak będzie czas...

GALILEJCZYK (*z westchnieniem*): Jak będzie czas. (*Kładzie rękę na usta, po chwili jednak*): Popatrz, to drzewo na szczycie Góry Oliwnej wygląda zupełnie jak kwiat.

ELAZAR: Głupi Galilejczyk śni o trzodach. Przecież to podobne do pałacu.

GALILEJCZYK: Rabuś Jerozolimczyk spragniony łupu.

ELAZAR: Stul pysk, uważaj, cofnij się z kręgu światła, ktoś nadchodzi.

GALILEJCZYK (*wyciąga nóż*): Boże, zlituj się nad jego duszą.

ELAZAR: Ukryj nóż, Galilejczyku, nóż wydobyty przed swym czasem jest bronią wroga.

GŁOS Z CIEMNOŚCI: Ludzie, zobaczyłem blask w ciemności, niosę wam pokój.

ELAZAR: Zbliźno się tu Józefie ben Chananja.

(*Józef ben Chananja podchodzi*).

JÓZEF: Elazar? Nie spodziewałem się tu ujrzeć twojej twarzy.

ELAZAR: Kto duszę oddał sprawie wolności ludu, tego nogi prowadzą w każde miejsce, gdzie jest grabież i zdrada. Czyż więc dlatego dziwisz się widząc twarz moją w Mieście Dawida?

JÓZEF: Niech Bóg wybaczy moją szczerłość, gdy jednak cię ujrzałem serce wróżyło mi nieszczęście. Czy doprawdy Ben Duma już myśli, że przyszedł czas na Jerozolimę?

JAN (*wymurza się z mroku*): Oddał z serca swego troskę, Józefie ben Chananja.

JÓZEF: Jan? Przecież to palec Boży, że tu o trzeciej straży we trzech się spotykamy.

JAN: We czterech.



JÓZEF (*dostrzega Galilejczyka*): Ten zbój, to kto?

JAN: To nie zbój tylko wysłannik ludu spragnionego wolności.

JÓZEF: Wszystko jedno.

JAN: Tak, wobec tego gorszym ty jesteś od niego, bo ty go wysyłasz na mord.

JÓZEF: Ręk swoich nie zboczyłem krwią. Przelana krew jest przelaną krwią.

JAN: No, wówczas i sędziowie byliby mordercami.

JÓZEF: Sędziowie zabijają na podstawie wyroku — pospólstwo zarzyna z żądzy mordy.

JAN: Tak, dlaczego zatem ty jego wysyłasz, nie wykonując tego sam?

JÓZEF: Któż, lepiej od ciebie mógłby wiedzieć, że pochodzę z rodu arcykapłanów?

JAN: Prawda. Choćbym zapomniał — odczuję to z twych słów.

ELAZAR: Bo tylko szaty różne mają kapłani i celnicy.

JÓZEF: Cóż to ma znaczyć?

ELAZAR (*tonem wyjaśnienia*): Jedni i drudzy pospólstwem gardzą, a żyją jego głupotą.

JÓZEF (*do Jana*): Odpraw ich.

(*Jan daje znak Elazarowi i Galilejczykowi, którzy odchodzą*).

GALILEJCZYK (*na odchodnym*): Popatrz jak z tego wylazła nienawiść, zupełnie jak nienawiść do niewiernych.

JÓZEF (*do Jana, z chwilą gdy zostali sami*): Znasz moją duszę. Odnośnie powstania, nie liczyłem na arystokrację. Ale od czasu jak ta ręka zawisła nad ludźmi zamożniejszymi, wzrosła jednak bezczelność pospólstwa.

JAN: Bardziej niż bezczelności pospólstwa obawiam się czelności zamożniejszych, idących ręką w rękę z Rzymianami, by ochronić swe majątki.

JÓZEF: Czy mógłbym się zobaczyć z Ben Dumą?

JAN: Nie.

JÓZEF: A przecież obaj byliśmy jego pomocnikami? Teraz, od czasu jak was nogi poniosły z Jerozolimy, już nie pozwalasz mi do niego przystąpić.

JAN: Wcale nie, tylko dlatego, że jest on w Jerycho.

JÓZEF: Słyszałem rozmowę kobiet na rynku: Ben Duma jest w Jerozolimie.

JAN: Ja i kobiety na rynku — kobiety na rynku wiedzą lepiej?

JÓZEF: Uspokoileś mnie trochę, choć pewna troska tkwi w sercu...

JAN: Więc o niej powiedz.

JÓZEF: Ojciec mój w odzieży nędzarza komnatę swoją opuścił...

JAN: Arcykapłan? A nie obawiał się o swoją duszę?

JÓZEF (*z westchnieniem*): Zmieniony nie do poznania... i zaułkami się prze-mykał...

JAN: Być może chciał popatrzeć na nędzę ludu swego...



*W głosie jego nuta goryczy. Józef piękny, urodziwej twarzy — uosobienie słabowitości. Jan — niskiego wzrostu, chudy, o rysach brzydkich z piętnem cierpienia. Ojciec jego sprzedany został w niewolę lichwiarzowi. Syn urodził się w niewoli. Młodość swą spędził u Esseńczyków, od których odszedł, gdy okazało się, że są przeciwni powstaniu. Później, gdy jednak ogarnęło ono szerokie kręgi, wyruszyli również Esseńczycy na wojnę. W owym czasie nie było go już pośród żyjących.*

JÓZEF: Nie to... chociaż może... czy będę mógł ci ufać, przyjacielu?

JAN: Czyż jeden cel nam nie przyświeca? A jednak mi nie ufasz, skoro o to pytasz. Ja zaś mogę. Bo powiedziano: „Nie ufajcie możnym”, a moja kieszeń jest dziurawa.

JÓZEF: Nic jasnego, w słowach wielu. Posłuchaj jednak: Ben Dumy szukał mój ojciec.

JAN (*zdziwiony*): Ben Dumy? A my o tym nie wiemy?

JÓZEF: Właśnie. Sprawy tak są zawikłane, że sam siebie pytałem, czy nie płakać nad ogromem zła. Ta noc jest porą ludzi śmiałych, lecz także porą złych knoń.

JAN: Knoń, doprawdy?

JÓZEF: Ojciec mój pieniężnym okupem zamierza pozyskać Ben Dumę.

JAN: Sumę wymienił?

JÓZEF: Z tego co proponował, wynika, że...

JAN: Czy z nim rozmawiał twarzą w twarz?

JÓZEF: Twarzą w twarz.

JAN: Oddał z serca troskę. Człowieka takiego nie da się kupić mamoną.

JÓZEF: Nie o Ben Dumę też się martwię; mój ojciec... wiesz przecie, że on jeden z całej grupy kapłanów i krajowych bogaczy, sam pragnie zagłady Rzymu.

JAN: Krwi niewinnej nie rozlewają ludzie Ben Dumy.

JÓZEF: Prawdopodobnie. Choć jest nie mało w naszej gromadzie próżniaków i nicponi.

JAN: Nie wzniesie się ręka do ciosu, zanim głowa nie powie: „Bij”.

JÓZEF: Pójdę teraz, uspokoiłeś mnie. A ty uważaj na siebie — kraj roi się od zdrajców.

JAN: Słowa twe słuszne są mój bracie, lecz bądź spokojny, oddał z serca troskę.

JÓZEF: Jakże ja troskę z serca mam oddalić, gdy okrucieństwo pewnych ludzi w Izraelu mnie przytłacza.

JAN: To jednak są tylko ci, którzy wyrywają złe ziele z winnicy Izraela.

JÓZEF: A właściciel winnicy przyjdzie i zbierze plony.

JAN: Gdyby nie pan winnicy, który daje moc mojej dłoni, nie podniósłbym jej na głupiego psa.

JÓZEF: Bądź zdrow, mój drogi, i pamiętaj, gotowi jesteśmy pozabijać wszystkich naszych przeciwników, lecz Izrael na tym nic nie zyska.



JAN: Wykonuję rozkazy Ben Dumy.

JÓZEF: Ben Duma jest w Jerycho, a nóż kąsa w Jerozolimie. Nim tu przyszedłeś...

JAN: Zaprawdę biada mi, jeśli bym kazał człowieka zabić z lekkim sercem.

JÓZEF: A gdyby nawet z ciężkim sercem, czyż ból nie szarpie serc osieroconych?

JAN: Rzymianie uczynią wszystkich Izraelczyków sierotami.

JÓZEF: Czy nie zanadto ci się spieszy?

JAN: Z twych słów wynika, sercem nie całkiem jesteś z Ben Dumą.

JÓZEF: Potwór to tylko, który nie ma w sercu Boga.

JAN: Błogosławiony lud, że choć potwory zdolne są przywrócić mu cześć.

JÓZEF: Wątpię. Najpierw obnosi się słowa o sprawie wolności ludu, jak ostrogi, a potem patrzy na porozpruwane ciała na ulicach.

JAN: Opuszcza cię odwaga?

JÓZEF: Jeśli by opuściła mnie odwaga, nie okazywałbym teraz wątpliwości prawej ręce herszta rzeźników, ale na równi z całym stadem pochlebców krzyczałbym też: „Droga gwiazdy przez Jakuba”, żeby uchronić swój brzuch przed nożem. Na Boga, czyż nie ciemnieje mi twarz kiedy patrzę na miedziane hełmy u bram świątyni? Lecz jak będziesz wojował bronią, której wróg ma więcej? Czemu nie walczyć czymś, co ty posiadasz, a czego on nie ma. Mieczu ma on więcej od ciebie.

JAN: A ty co masz takiego, czego oni nie mają?

JÓZEF: To się jeszcze okaże.

JAN: To się jeszcze okaże — powiadasz, gdy rozgrzebane węgle pod naszymi nogami.

JÓZEF: Bądź zdrow, mój drogi i pamiętaj, że sercem jestem ciągle jeszcze z wami. Oby tylko życie ludzkie nie było dla was nazbyt błahe.

JAN: Bądź zdrow, uspokój się. Moja ręka nie tknęła jeszcze nikogo, chyba lewiatanów wśród szkodników ludu. Czyś ty doprawdy myślał, że nóż rozsądzi nas i przeciwników? Nie nóż, lecz miecz. A miecz się nie podniesie, nim cały naród nie powstanie do wojny przygotowanej z rozmysłem.

JÓZEF: Wyjawiasz własny swój sąd, lecz nie zamiary Ben Dumy.

JAN: Jeśli istnieje różnica między mną a Ben Dumą, to nie w tym.





## Odsłona 2

*Chwilę potem. Ogrodzone podwórze, pogrążone w ciemności. W oknie domu blade światło. Skrzypi ciężka drewniana brama, po czym słychać zasuwany zamek. Smuga światła pada na nogi dwóch ludzi u wejścia. Wyższy z nich sunie w kierunku smugi światła. Z chwilą kiedy w nią wchodzi, wzdraga się wejść na powrót w ciemność. Poznać po nim, że jest kimś znacznym. Wspaniała broda sięga mu na piersi porusza się z pewnością siebie. Jest ubrany w lachmany. Drugi nie rusza się od progu i nogi jego znikają ze smugi światła; on sam ginie w mroku. Po jakimś czasie znika stamtąd — jak się wydaje.*

STARZEC: Czy to jest to miejsce?

DRUGI: To jest to miejsce.

STARZEC: Podnieś światło.

DRUGI: Nie ma tu nic, na co mógłby pan popatrzeć.

STARZEC: Podnieś światło, słyszałeś? Czy nie wiesz, kto przed tobą stoi?

GŁOS (z drugiej strony): Ar-cy-kapłan.

STARZEC (z lękiem): Kto mówi?

GŁOS: Ja.

STARZEC: Nikogo nie widzę. Podnieś światło.

DRUGI: To ten człowiek, z którym chciałeś się widzieć twarzą w twarz.

KAPŁAN: Ben Duma? Mógłbyś mi spojrzeć w twarz.

GŁOS: Mnie to niepotrzebne.

KAPŁAN: Wolisz się ukrywać?

GŁOS: Słowa twoje jasne są dla mnie w ciemności.

KAPŁAN: Cóż się stało z twym głosem, że tak się zmienił...

GŁOS (trochę ze zdziwieniem i trochę drwiąco): Głos mi się zmienił? Zmienia się wszystko, tylko nie głos. Ten głos jest moim głosem. Czy głos mój nie jest ten sam, co przedwczoraj, czy słowa nie po twojej myśli...

KAPŁAN: Głos i słowa — czyżbyś się zapierał?

GŁOS: Zapierał się siebie, czy zapierał się ciebie? Co wolisz? Dlaczego sam, w lachmanach, raczyłeś się trudzić do mojej siedziby o trzeciej straży?

KAPŁAN: Usuń swój miecz z Jerozolimy...

GŁOS: (Na życie moje, on zaprawdę pozna głos Jana Bar Chamy, podającego się za Ben Dumę...) Czy już jej grozi wolność?



KAPŁAN: Ben Duma, czyś ty mnie wołał tu na kpiny? Jeśli jesteś Izraelczykiem, to słuchaj: przestań grabić synów swego narodu.

GŁOS: Czy celnicy to też synowie Izraela?

KAPŁAN: Przestań drażnić Rzymian, których miecz kąsa w Izraelu, oddal swój miecz z Jerozolimy.

GŁOS: Czyż nie zrozumiałbym twoich zamiarów? Chciałbyś, żebym drażnił Rzymian poza murami, aby ich zemsta dotknęła chłopów, a oszczędziła krajowych bogaczy. Jerozolima jest sercem Judy; płomień wyjdzie z serca ziemi.

KAPŁAN: Wasz bandytyzm nie wznieci ognia wśród tego nieszczęśliwego ludu.

GŁOS: Nam bardzo brak pieniędzy na nasze potrzeby.

KAPŁAN: Mógłbym zaproponować ci pieniądze, byleś tylko zniósł rozbój w Izraelu.

GŁOS: A ile pieniędzy możesz mi zaproponować?

KAPŁAN: Dosyć, byś sam ty żył w dostatku oraz dziesięciu twych najbliższych ludzi.

GŁOS (*z gorzkim śmiechem*): Bardzo nam brak pieniędzy, żeby utrzymać izraelskie legiony, które by poszły walczyć z Rzymianami, ty zaś mi proponujesz pieniądze po to, bym ciało swe tuczył w bogactwie. Z Esseńczyków wyszedłem i nigdy nie pragnąłem bogactw. Dla siebie możesz schować swe pieniądze. Bandytyzm nasz dlatego nie jest rozbojem, że obdzieramy tylko tych, co obdzierają naród.

KAPŁAN: Jesteś jeszcze bardzo młody, Ben Duma, i nie znasz ludzi. Jeżeli nawet będziesz bogatych łupić — zawsze im jeszcze pozostanie trochę na opłacenie rzymskich legionów, które by z tobą walczyły.

GŁOS: A zatem radzisz mi, bym grabił ludzi ubogich, a nie bogatych. Z sensu twoich słów to wynika. Powiadasz tak: powinienem poniechać majątki bogatych, bo gotowi oni wynająć rzymskie oddziały, które by walczyły ze mną.

KAPŁAN: Nie dbają oni o szczęście ludu.

GŁOS: Tyś powiedział. I dlatego, że nie dbają oni o szczęście ludu, powinienem ja im zostawić pieniądze.

KAPŁAN: Nie o pieniądze chodzi, lecz o wstrzymanie rozlewu krwi. Każdego dnia modlę się: „Boże, natchnij serce bogatego. Ubodzy, ci są ludem twoim”. Ale ty nie możesz z nimi walczyć, bo ujrzysz miecz kąsający Izraela, a bogatym niczego nie zbraknie.

GŁOS: I kto będzie żywił Izrael, jeśli oszukają go celnicy, a Ben Duma bierze ostatni grosz na powstanie?

KAPŁAN: Bóg, który karmi kruki, żywić będzie ubogich swego narodu (*podnosi oczy w górę*).

GŁOS: Choć posłańcy Boga, którzy kapłanią w świątyni, sami żywią się owocami Galilejczyka, a nie strawą kruków.



KAPŁAN: Młody byłem i zestarzałem się, lecz nie widziałem w opuszczeniu sprawiedliwego ani potomstwa jego, zebrzącego o chleb.

GŁOS (*z goryczą*): Byłeś młody i zestarzałeś się ukuty wśród pałacowych ścian. Lecz tych ja widziałem: siedem razy pada sprawiedliwy, a łotr spod niego wstaje. Jeśli sprawiedliwymi nie są ci, którzy konają z głodu u jerozolimskich bram, wówczas nie ma sprawiedliwych pod słońcem.

KAPŁAN (*gwałtownie*): Gotów jesteś zgubić Izraela. Któż ciebie ustanowił sędzią?

GŁOS: Nie ja za swoje pieniądze kupowałem od Rzymian kapłaństwo. Krzyk ludu mego obwołał mnie sędzią, ogień, który mnie pali, niedołężność Sanhedrynu, zachłanność kapłanów, sprzedajność celników, rzymskie psy. I gdyby nie naród, który imię moje woła, nie przekradałby się sam najwyższy kapłan o trzeciej straży, aby przekupić mnie pieniędzmi.

KAPŁAN: Będziesz za to odpowiadał jak Egipcjanin i jak rzesza głupców, idąca w jego ślady. Zaprawdę ujrysz lud wołający twe imię, ale idący za twym krzyżem, gdy będzie pluł na ciebie w ulicach. Czy może sobie wyobrażasz, że jesteś jednym z bohaterów Izraela? Od czasu jak zaszło słońce Hasmonejczyków, odebrane zostało przywództwo bohaterom, a przekazane jest mędrcom.

GŁOS: Jeśli zaliczasz tchórzliwe serca do mędrcom, moje niech będzie z głupimi.

KAPŁAN: Gotowys...

GŁOS: Po co wiele słów. Jeśli przemawiasz w imieniu celników, jesteś wrogiem moim i wrogiem Izraela, bo nie mogliby Rzymianie rządzić w Izraelu bez pomocy celników i krajowych bogaczy, trzęsących się nad swymi pieniędzmi, którzy to powiadają: „Lepszą jest dla nas władza rzymska, prawowita, niż wolność próżniaków, nicponi i Galilejczyków, którym z ust czuć zapachy cebuli i czosnku”.

KAPŁAN: Ben Duma, żołnierze rzymscy nadejdą tu, zanim zdążysz ująć z życiem. Ja mógłbym tobie uratować życie. Czyś słyszał moje słowa (*w głosie czuć groźbę*). Mogą tu nadejść Rzymianie.

GŁOS: Niech cię Bóg broni, kapłanie. Sam rozstrzygnąłbyś los swój.

KAPŁAN: Moi ludzie są po drugiej stronie ściany.

GŁOS: Twoi ludzie są pojmani przez moich ludzi i zanim dotrą tu rzymskie oddziały...

KAPŁAN (*drżącym szeptem*): Szymonie, Szymonie...

GŁOS: To był uczciwy sługa.

KAPŁAN (*ostępiały z przerażenia, drżącym głosem*): Szymonie? Co zamierzasz zrobić ze mną? Tu mogą nadejść Rzymianie.

GŁOS: Jakże więc ja miałem tobie ufać? Ten kto kupił swoje kapłaństwo od Rzymian, tym łatwiej sprzeda swoich przeciwników. Cały ten podstęp Ben Dumie nic nie zaszkodzi (*ukazuje się*). Nie jestem Ben Dumą i żaden Rzymianin dotychczas mnie nie zna...



KAPŁAN: Bar Chama?!

JAN: Poznałeś mnie? Ja również dobrze ciebie pamiętam. Ojciec mój z klątwą na ustach zszedł ze świata. Gdyby on z wiary swej chciał uczynić motykę do kopania, nie prześladowalibyście go z taką zaciętością. Gdyby nie wasza zaciętość, nie zeszedłby na ostatni chleb i nie zaprzedał się w niewolę. Teraz w prochu leży cześć zakonu, a wyście zamilkli. Ale nie będę mścił się za ojca. Dziesięć razy stawałem u progu twego pałacu i nawet nie zakląłem, dopókiś się nie sprzedał celnikom na rzymskiego sługusa...

KAPŁAN: Nie życzyłem sobie widzieć się z tobą. Nie zadaję się ze służącymi... Gdzież jest Ben Duma?

JAN: W Jerycho, panie arcykapłanie.

KAPŁAN: Przecież dał słowo, że przyjdzie się ze mną zobaczyć.

JAN: Postanowiłem inaczej — że ze mną się zobaczysz. Ben Duma łatwo uległby obłudzie.

KAPŁAN: A więc wszystkie słowa na próżno. Ty jesteś tylko jednym z tych, co wykonują polecenia Ben Dumy — nie mamy sobie nic do powiedzenia. A resztą nie przemawiałeś wcale po myśli swego pana.

JAN: Ja tylko wypełniam wolę narodu, a jeśli mój dowódca nie wykonuje woli ludu, wtedy ja nie wykonuję woli mego dowódcy.

KAPŁAN (*z przerażeniem*): Więc teraz...?

JAN: Wyjdź w ulice Jerozolimy i toruj sobie drogę do swego pałacu. Na życie moje! Jeśli poznają cię moi ludzie, będzie z tobą koniec.

KAPŁAN (*zastanawia się przez moment, po czym chce krzyknąć*).

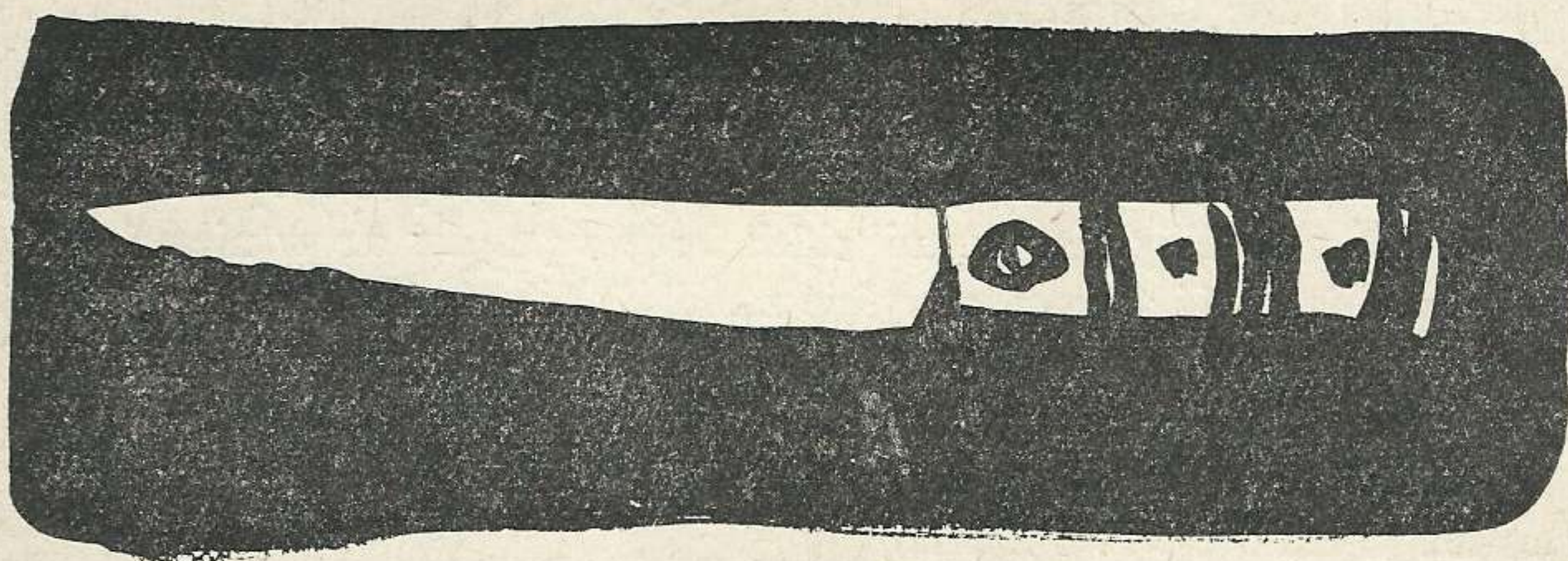
JAN (*z wyrzutem*): Masz zamiar krzyknąć? Noc w noc rozdziera krzyk jerozolimskie nieba. Czyś ty pomyślał kiedy w duchu: „Wyjdę ratować”, czy zatykałeś uszy, żeby nie słyszeć? Do kogóż więc teraz swój będziesz podnosił głos? Nie ma Boga w Jerozolimie, a żaden już człowiek nie zwraca uwagi na krzyki. (*Podchodzi bliżej. Kapłan cofa się bezwiednie*). Nie lękaj się — moja ręka ciebie nie tknie. Dostrzegam kapłański płaszcz pod tymi łachmanami. Wątpię, czy będziesz oglądał dzisiejszy poranek.

KAPŁAN (*wymiośle unosi skraj płaszcza*): Nie dajesz mi ochrony?

JAN: Chroni się w cieniu Boga.

KAPŁAN: Słowa błźnierstwa padają z twych ust. Niech Bóg nad tobą czuwa. (*Odchodzi dumnie przez bramę podwórza. Różowy świt. Jan odmawia poranną modlitwę*).





rys. Barbara Fonscher

## Odsłona 3

*Po krótkiej chwili w zaułku. Dwóch kupców i sługa. Sługa niesie na plecach ciężką skrzynię.*

I KUPIEC: Czy to tu?

II KUPIEC: Aha, tak; tak zdaje mi się, jeżeli się nie mylę.

I KUPIEC (*do sługi*): Złóż tę skrzynię tutaj w załomie ściany. Nie tam, tutaj... (*Do kupca II*): Twoja wina, żeśmy się tak spóźnili.

II KUPIEC: Biorę tę winę na siebie.

I KUPIEC: Winę... chciałeś powiedzieć, że ponadto twój udział w zysku będzie mniejszy. Bo co mi z tego, jak sobie winą obarczysz sumienie? Jak twoja dola w sprzedaży będzie mniejsza, to rozumiem — wzięłeś winę na siebie.

II KUPIEC: Coś mi się wydaje, że to nie tutaj, tylko tam, za tym drzewem przypominam sobie też, że położyliśmy tam jakiś znak.

I KUPIEC (*do sługi*): Zanieś tam tę skrzynię.

*(Sługa z trudem stara się podnieść skrzynię. II kupiec próbuje mu pomóc).*

I KUPIEC: Nie masz prawa jemu pomagać, żeby się nie rozpuścił. Jak tylko pozwolisz im się pograć w lenistwie, to tacy gotowi tylko jeść i nic nie robić. Nie chciałbym, żeby spod mojej władzy wyszedł taki rozpuszczony leń. Gdyby to był cudzoziemiec, to dałbym pieniężny okup na zastaw, w sercu swym nie jestem sknerą. Nie ma dla mnie wielkiej różnicy, czy będzie robił więcej czy mniej, bo mam teraz więcej własnego majątku, ale to jest niewolnik żydowski i przyszedł do mego domu młody i silny, zdolny do każdego fachu — nie mam prawa psuć jego możliwości dlatego, że po dwóch latach może się wyzwolić. I to jeszcze — on umie pisać, a takich ciągnie do lenistwa, jak cielę do matki... (*śmieje się, wtem znowu jakaś troska chmurzy mu twarz*). Już świta, i stróże mogą nas nakryć z naszą zdobyczą, jeśli nie nadejdzie ten cudzoziemiec, który obiecał nam w tym pomóc. Boże, Boże, jakże drży wciąż moja dusza. Zaklinam cię, że długo tu nie będę żył, w tym mieście, pożerającym swych mieszkańców. Powiedziałem zaiste: „Przeniosę swoją siedzibę do Cezarei, chociaż... tam też nie



jest za bardzo bezpiecznie, a ich namiestnik bardziej łasy na pieniądze, niż ktokolwiek. Co sądziłbyś o Antiochii syryjskiej”?

II KUPIEC: Nigdy w życiu tam nie byłem.

I KUPIEC: Mnie się wydaje, że dobra. Ja też tam nie byłem. Istnieją głoski że i tam były zamieszki, ale nie ma ci człowieka, co by nie potrafił ocenić pieniędzy poza Esseńczykami i tymi gorliwcami, co to nie mają w sercu bojaźni Bożej i nie zwracają uwagi na cześć ani bogactwo. A zatem czyś już pomyślał o Antiochii syryjskiej?

II KUPIEC: Gdzie ty pójdziesz, tam pójde i ja, bo w twoje ręce powierzył ojciec mój majątek.

I KUPIEC: I dobrze zrobisz, boś jeszcze chłoptaś i marny byłby twój koniec — przekazać majątek kusicielom. Czy może sobie wyobrażasz, że utajoną została przed moimi oczyma sprawa tych dużych pieniędzy, coś je przekazał dla Ben Dumy?

II KUPIEC: Może on wyzwoli naród.

I KUPIEC: Nie ma nic lepszego, jak bat na wariata, bo bat lepiej przemawia do głupca, jak język; może i mnie się uda wbić tobie rozum do ciemienia i zanim posiwieją ci włosy, oddalić od ciebie wszystkie te marne pomysły. Również i ja w swej młodości skłonny byłem wierzyć... (*wzdraga się*). Patrz, tam leżą ludzkie zwłoki.

II KUPIEC: Przyspieszmy kroki — jeszcze zażąda się od nas jego krwi. Pójdziemy przez górną bramę miasta i wyjdziemy z miasta doliną Ben Hinom.

I KUPIEC (*kiwa na służbę*): Ale to bardzo długa droga.

II KUPIEC: Nie zwracaj na to uwagi. Odpoczywałem i spałem podczas drogi, czuję się młody i rześki. Piękna lekka przechadzka, by rozprostować nogi. (*Wychodzą*).

I KOBIEȦ (*dostrzega leżące na stronie ciało, unosi rękę, która bezwładnie opada. Obojętnie*): Leżą tu jakieś ludzkie zwłoki.

II KOBIEȦ (*bez zaciekawienia*): W jaki sposób on umarł?

I KOBIEȦ: W sposób ludzki śmiercią naturalną — z rąk ludzkich.

II KOBIEȦ (*bada szaty i dostrzega insygnia kapłańskie. Zmartwiała*): Och, biada mi, zamordowany arcykapłan, och, och, biada Izraelowi, arcykapłan został zabity. Biadać nad tymi, co zginęli, a przywrócenie nie będą. Widziałam go na własne oczy, jak wstępował na stopnie świątyni, piękna postać, cały zdawał się jaśnieć. Biadać nad tymi, co zginęli i przywrócenie nie będą.

I KOBIEȦ: Co ty tak lamentujesz? Daj sobie spokój. Gdyby ten co tam leży był jedynym żywicielem dzieci, to wątpię, czy znalazłby się ktoś, kto by je ratował od hańby. Na arcykapłaństwo znajdą się jeszcze chętni. No, chodźmy stąd, zanim nas nie wezmą i nie postawią pod sąd. Patrz, zbliżają się ludzie.

(*Nadchodzi Elazar i Galilejczyk*).

II KOBIEȦ: To tylko prości ludzie.

I KOBIEȦ: Strażnicy i szpiedzy to też zwyczajni ludzie.



ELAZAR (*niby to zaskoczony spostrzega ciało arcykapłana i hałaśliwie podnosi głos*): Ojoj, zabito człowieka, na głównej ulicy zabili, czyż nie ma Boga w sercach morderców?

I KOBIETA (*syczy*): Zamknij gębę durniu. Jak będziesz za dużo wrzeszczał, to powiedzą, żeś ty go zarznął. Bo dziś krzyczy nad zabitym w Jerozolimie tylko sam morderca, co chciałby swym krzykiem w błąd wprowadzić ludzi. Gotów jesteś krzykiem swym na siebie zwrócić podejrzenie. Tak podejść możesz Rzymian, ale jerozolimskich ludzi tym nie nabierzesz.

ELAZAR (*zmieszany*): Masz słusność niewiasto. Dał tobie Bóg rozsądek w sercu.

I KOBIETA: Co Bóg dał sercu — wzięli ludzie, a co tam ludzie zasiali, tego Bóg jednak nie weźmie.

ELAZAR: Jesteś najmądrzejszą z kobiet, jakie kiedykolwiek znałem w swoim życiu.

I KOBIETA: Na miarę mojej nędzy.

ELAZAR (*wyrywa sakiewkę z pasa arcykapłana*): Nieprzyzwoicie to hańbić zmarłych, ale jesteś biedną kobietą. Bierz tę sakiewkę z jego pasa — niewiele to warte, o ile warte cokolwiek. Tyś więcej warta niż to, tylko ten łysy, przebrał się w łachmany. Oho, oto jego pierścień. Schowaj to, zanim ludzie zobaczą i zanieś swojemu mężowi.

I KOBIETA (*wzdycha*): Mojemu mężowi...

ELAZAR: Czy uraziłem cię, jesteś niezamężna?

I KOBIETA: Gorzej, przed dwunastoma laty udał się on po naukę zakonu i wrócił, gdy dorósł syn pierworodny; wrócił i zabrał go z sobą. Za jakie grzechy, na Boga tak mi się wie dzie? Mój mąż nie poszedł wcale po naukę zakonu, tylko do ludzi Ben Dumy poszedł wsadzać nóż w plecy niewinnym przypadkowym przechodniom.

ELAZAR: Gdybym miał taką żonę, nie wyszedłbym za próg swego domu.

I KOBIETA: Czy ci tak własna żona zbrzydła, że przed świtaniem uciekasz na ulicę?

ELAZAR: Ben Duma roznieci powstanie i wyzwoli Izraela. Dobrze twój mąż zrobił.

I KOBIETA (*do II Kobiety*): No, chodź już stąd Miriam jak najprędzej. Sądziłam, że jest to człowiek rozsądny, ale to tylko jeden z tych, co to myślą, żeby zabić czterech, a piątego zbawić. Lepsi już dla mnie są ci głupcy ze swoim wyzwaniem duszy, niż ci, za których przemawia nóż. Nie potrzebuję twoich podarunków. (*Ma zamiar oddać, lecz rękę cofa*). Nie, skorzystam z nich lepiej niż ty. Zresztą ja pierwsza zobaczyłam zwłoki. Masz sakiewkę Miriam, bo też razem zobaczyłaś ze mną (*exeunt*).

GALILEJCZYK: Na Boga, ta kobieta powiedziała słowa słuszne. Cztery już dusze nóż mój zarznął, a powstania jak nie ma, tak nie ma.



ELAZAR: Niecierpliwy Galilejczyku. Powstanie się nie spóźni. Zmęczyłem się jednak ciągłym powtarzaniem tobie tych słów: wciąż ci powtarzać tę gadkę bez końca — zanim cały Izrael nie pójdzie za Ben Dumą, nie ma powstania, tylko rzeźnia. I bądź dlatego cierpliwym. Jedna chmura deszczu nie daje — dopiero, kiedy pociemnieje całe niebo. Rozumiesz? Nim naród cały nie uwierzy w Ben Dumę, musimy czekać.

GALILEJCZYK: Żonę i trzy maleństwa porzuciłem w swej wiosce, a większej miłości nad wolność nie znałem. Powiedziałem sobie: powstaniemy i bić ich będziemy... a dotychczas ani jeden Rzymianin nie wpadł mi w ręce, zabiłem tylko przeciwników Ben Dumy. Tego Ben Dumy, którego nigdy w życiu na oczy nie widziałem, ani nie wiem kto to, ani za niego nie myślę oddawać duszy. A teraz biada mi przed zemstą faryzeuszy i biada mi przed wściekłymi rękoma żołnierzy, biada mi, na płacz moich głodnych dzieci, biada mi, że ciągnie mnie do żony.

ELAZAR (*pogardliwie*): Idź głupcze, szukaj swojej wolności na łonie kobiety, nie tacy mężczyźni nadają się do wojny.

GALILEJCZYK (*ze złością*): W życiu jeszcze nie machnąłeś nożem, nad trupem tego zabitego dreptałeś jak koło baby i ty mnie będziesz teraz tu zawstydział?

ELAZAR: Czyż jednak nie byłem dla ciebie przyjacielem?

GALILEJCZYK: Nienawidziłem zawsze tych uczonych mędrców, bohaterów pyska, ogłupiających uczciwych ludzi. Przecież jak tylko zaczynam mówić — już ze zdziwieniem patrzysz mi na usta, jak bym był osłem, co zaczął przedmowę.

ELAZAR: Usuń się stąd, Józef ben Chananja nadchodzi...

JÓZEF (*zbliża się wraz z siostrą. Staje jak wryty nagle obok ciała arcykapłana*): Oto on. Ach, serce mi wróżyło nieszczęście. Ach ojcie, ojcie, wspaniały człowieka, jakże cię zniszczyć mógł ohydny nóż morderców?

MARIA (*pada na ciało swego ojca*): Ach ojcie, ojcie...

JÓZEF (*stoi na przeciw nie zbliżając się*): Mordercy jego muszą mi odpowiedzieć za to.

MARIA: Dotknij, ucałuj raz ostatni ojca swego, ach ojcie mój, ojcie...

JÓZEF: Od teraz ja jestem arcykapłanem i nie mam prawa chylić się nawet przed ojcem.

MARIA: Twarde masz serce.

JÓZEF: Takie są prawa naszego zakonu. Ojciec twój leży martwy przed tobą, a ty już lekceważysz brata swego?

MARIA: Przebacz mi, bracie, nie myślałam nawet o tym w nieszczęściu. Pomyślałam sobie: ukoję swoją żal — nie powstrzymałam języka. Czy naprawdę jesteś arcykapłanem? Przecież pusta jest nasza kiesa, jakże wyciągniesz rękę, by kupić ten urząd?



JÓZEF: Wiem dobrze moja siostrze, że któryś z tych obłudników zachłanych na pieniądze, kapłaństwo weźmie dla siebie. „Nie ma praw, nie ma sędziów w Izraelu”! Posłuchaj jednak wiary w moim natchnionym sercu — zaprawdę powiadam ci: gdyby nawet noga moja nie tknęła świątynnych stopni, dziś ja jestem arcykapłanem Izraela. Przy zwłokach ojca mego, wspaniałego człowieka, zaklinam cię, że pod sąd własną ręką wydam morderców.

MARIA: Ach, ojczec, ojczec... jakże ten Ben Duma...

JÓZEF: Ben Duma nie odważył się podnieść ręki na kapłaństwo, tylko Jan. O n.

MARIA: J a n?

JÓZEF: Znam dobrze ukryte skarby twego serca, dlatego tak jesteś mi droga. Jak wielką jest jego brzydota, tak wielką jest twoja dusza. Na Boga, jak dumne było moje serce z siostry, oczyma swymi wyjawiającej tajemnicę serca, odkrywającej przede mną po raz pierwszy swoją miłość do tego brzydala o silnej woli. Tak, powiedziałem sobie wtedy, nie odda serca moja siostra powierzchownej urodzie. I tak cię kochałem, tak dumny byłem z ciebie siostrze. Mój Boże, był mi nad wszystkich ludzi droższy... Teraz jednak, niechaj ta twarz do śmierci pozostanie tobie w oczach...

MARIA: Boże, czyś ty zaszczepił w ludzkim sercu nienawiść? Dlaczego zabił ojca najuczciwszy człowiek Judei?

JÓZEF: Nie jestem dzisiaj już chłopcem — poznałem drogi łotrów, lecz drogi sprawiedliwych są mi niepojęte. Jak wielką jest jego prawość, tak tajemnicze drogi jego. Gdyby ten nie był twoim ojcem, żal byłoby mu duszy jego. Zaprawdę nie ma zgody wśród faryzeuszy i gorliwości, a ojciec nasz w trosce o pokój w domu Izraela rękę swą kładł na wrogów, aby odeprzeć zło — stąd jednak do ... (*łzy toczą się po twarzy*) daleka droga. To obawa przed zbyt dużym faworyzowaniem tak pomieszała mu w głowie. Dlatego, że to ojciec twój był właśnie, on postanowił go uśmiercić. Gdybyż ten sprawiedliwy nie był pomyślał sobie: „miałbym go żywić, dlatego, że jest on jej ojcem...”. Boże, strzeż mnie przed sprawiedliwymi, przed łotrami sam się będę bronił! (*Zjawia się sługa*): Czemuś się tak spóźnił? Przecież mówiłem ci, byś szedł tuż za nami?

SŁUGA: Szedłem tu panie i natknąłem się na jakiegoś czcigodnego człowieka, który mi zaczął wymyślać — czyż mogłem dojść dopóty on stał i wymyślał? He, jak dobrze kłął — zupełnie jak jaki nicpoń.

JÓZEF: Skończ ze swym gadaniem (*sługa spostrzega zwłoki*) — skocz szybko do pałacu, zwołaj sługi i straż.

SŁUGA (*przerażony*): O Boże, mój pan, mój pan, był dla mnie jak ojciec. (*Znika*).

JÓZEF: Pozostajemy tutaj, będziemy pilnować, by jacyś ludzie nikczemni nie połaskili się na jego szaty. Siostrze, zapamiętaj to sobie, przy zwłokach ojca się zaklinam — przyjdzie dzień zemsty i zapłaty. To jeszcze kładę sobie w serce



dzisiaj. Nie masz okrucieństwa, od którego rąk nie mógłby powstrzymać człowiek czystego serca, dla sprawy wznioślejszej w dążeniach ludzkich. I gorsi są uczciwi i o twardej woli, niż prostacy pośród łotrów — bo ci nie zadrżą. Dlatego pomyślałem sobie: wierz tylko tym, co strzegą praw zakonu, prawa te bowiem są wyraźne, gdy prawa serca największego nawet wśród śmiertelnych bez praw zakonu — nie są jasne nigdy.

MARIA: Och, jak ogromne jest nasze nieszczęście...

JÓZEF: Któż zdoła je zmierzyć miarą prawdy?

MARIA: Ach ojcie, mój ojcie...

JÓZEF: Boże, chroń naród swój...

CZŁOWIEK (*stary, wsparty na lasce, usta szepczące modlitwę*): Oszczędź swych przeciwników, a Bóg i ciebie uchroni, synu człowieczy.

JÓZEF: Chronić swych wrogów, by się występny w świecie mnożył?

CZŁOWIEK: Jeśli będziecie kochać tych, którzy i was kochają, cóż dla siebie zyskacie, czyż nie tak samo postępują celnicy? Jeśli nie będziecie chronić nieprzyjaciół waszych, rozlew krwi na ziemi nie ustanie.

JÓZEF: Chronić swych wrogów — tak mi Boże dopomóż, lecz przeklęty niech będzie ten, kto zapomina o grzechach zwodzicieli Izraela, prowadzących go do zagłady. Przeklęty niech będzie na wieki...

MARIA: Bracie mój, cóż ci się stało. Do kogo tak krzyczysz? Czy nie widziałeś, że ten człowiek pomyłony, nieprzytomny?

JÓZEF: Aha... cóż się ze mną dzieje, że tak wielki mój ból. Boże, Ty wszystko to widziałeś i milczysz?

(*Błysk i grzmot. Józef pada na twarz*).

Koniec aktu I.

Z hebrajskiego przełożył  
Władysław Tubielewicz